

CHCĘ GRAĆ HAMLETA

Z KRYSYNA JANDĄ rozmawia Bohdan Gadomski

– Po pani pierwszej roli filmowej, Agnieszki w „Człowieku z marmuru”, obwołano panią aktorką pokolenia.

– Rola Agnieszki nie była moim sukcesem. Byłam za nią bardzo krytykowana – nie znam ani jednej dobrej recenzji. Zresztą ja wtedy jeszcze mało umiałam jako aktorka. Byłam tuż po szkole teatralnej, nie potrafiłam oszukiwać.

– „Tylko ona to zagra – powiedział jednak Andrzej Wajda o pani – ona może zabić”. Taka ocena wybitnego reżysera określa panią dość jednoznacznie...

– I jaka może być na to moja odpowiedź?

– W wywiadach mówiła pani wtedy o swojej niepewności, stresach i nieśmiałości.

– W życiu. Na planie z każdej roli pasywnie staram się zrobić aktywną.

– Ale w filmie „Mefisto” nie udało się.

– Nie miałam szans na wprowadzenie jakichkolwiek zmian. Bardzo nie lubię tej roli.

– Druga Agnieszka z „Człowieka z żelaza” była już innym rodzajem aktorstwa. Czy jest to świadoma niekonsekwencja?

– Sądzę, że jeżeli uwzględni się pewien sposób myślenia, to okaże się, iż jestem konsekwentna. Agnieszka w „Człowieku z marmuru” była osobą, która do momentu zajęcia się swoim tematem pracy dziennikarskiej uczestniczyła jakby nieświadomie w historii swego kraju. Agnieszka w „Człowieku z żelaza” to już kobieta, która przeżyła cztery lata myśląc. W tym filmie nie było miejsca na tamtą postać. Trzeba było kazać mojej Agnieszce dojrzeć.

– Jakie uczucie towarzyszyło pani podczas kręcenia tego filmu?

– Strach i paraliżujące poczucie odpowiedzialności. Teraz to już tylko uczucie smutku.

– Podobno grając tę rolę była pani z siebie niezadowolona.

– Tak, bo nie wiedziałam, czy naprawdę dorosłam, żeby zagrać tę rolę, czy rozumiem dostatecznie dużo, żeby powiedzieć pewne rzeczy i pokazać pewne uczucia na ekranie.

– Co pomogło w pracy?

– Ogromne zaufanie do reżysera, do tego, co on robi i jak myśli. Cały czas byłam wsłuchana i wpatrzona w niego, przekonana, że wie i rozumie o wiele więcej niż ja.

– Zygmunt Kałużyński napisał w „Polityce”, że „Janda najmniej nadaje

się do tego, aby grać liryczną, poświęcając się męczennicę i mimo jej talentu od roli jedzie jednym fałszem krzyczącym. Serce się ściska”. Czy pani też się serce ścisnęło po przeczytaniu tej recenzji?

– W przeciwieństwie do recenzenta jestem z siebie zadowolona i szczęśliwa, że starałam się przynajmniej zagrać kobietę rozumiejącą, a nie, jak

twierdził pan Kałużyński, „poświęcając się”. Czy mi się to udało, to już inna sprawa.

– „Kurczę, po co ja się urodziłam kobietą! Gdybym była mężczyzną, nie miałabym takich problemów. Nigdy nie mogę grać roli, którą naprawdę rozumie. I to teraz, kiedy w Polsce narodził się prawdziwy mężczyzna, ja nie



Krystyna Janda

Fot. Archiwum

mogę go grać”. Przytoczyłem fragment jednego z wywiadów. Wynika z nich, że chciałaby pani grać role męskie.

– Bardzo chciałabym grać Hamleta. Nie żartuj! Wydaje mi się, że wiem, jak zagrać rolę. Ona mnie fascynuje. Hamleta wymieniłam jako hasło. Po prostu chciałabym zagrać wielką rolę, na przykład Konrada lub Kordiana. Tak skomplikowanych, zawierających takie bogactwo psychologiczne żeńskich ról nie ma lub prawie nie ma. Stąd moje marzenia o Hamlecie. Może dość pretensjonalne, ale wiem, jak chciałabym go zagrać.

– Zawsze posiada pani sprecyzowaną pogląd na to, co i jak zagra?

– Zdarzają się wyjątki. Taką rolą była Martwa w „Dyrygencie”. Wówczas po raz pierwszy nie miałam sprecyzowanego poglądu na to, co grałam. Jeżeli mam przed sobą zadanie, które rozumiem, poradzę znaleźć środki, by

„...chciałabym zagrać wielką rolę, na przykład Konrada lub Kordiana. Tak skomplikowanych, zawierających takie bogactwo psychologiczne żeńskich ról nie ma lub prawie nie ma.”

stworzyć postać. W „Dyrygencie” było trudniej, bo nie miałam jasnej, klarownej wizji.

– Dopiero po „Przestuchaniu” rzuciła pani wszystkich na kolana.

– Nie jestem genialna, a tylko tacy ludzie mogą rzucać innych na kolana. Myślę, że po prostu jestem dość dobrą aktorką, która dość często się myli, ma wątpliwości, lubi grać, ale nie lubi siebie oglądać.

– Na planie filmowym lubi pani być na pierwszym miejscu, nigdy z tyłu lub w tle. Tak mówią pani koledzy.

– Może jestem niedelikatna, kiedy pracuję. Jeżeli koledzy tak sądzą, to ich przepraszam, ale nie wiedziałam, że tak to mogą odbierać. Zawsze chcę coś sama przeprowadzić, bez czekania na czyjąś informację, i może to sprawiać wrażenie, że koniecznie chcę wysunąć się na pierwszy plan. Ale mnie to naprawdę nigdy nie przyszło do głowy. Po prostu pracuję.

– Jak pracowało się pani we Francji?

– To była wielka przygoda, a także okazja do sprawdzenia siebie jako człowieka i aktorki. Mój pobyt we Francji to też dosyć interesujące i zabawne studium kulturowo-socjologiczne. Ekipa francuskich filmowców początkowo przyjęła mnie nieufnie, ale po dwóch tygodniach, gdy zobaczyli, jak pracuję, jak mi na tym zależy i że moje sprzeciwu, uwagi nie są wynikiem histeryi czy fanaberii, okazywali mi szacunek.

– Jakie były francuskie recenzje?

– Właściwie wszystkie dobre, tylko w jednym z tygodników jakiś krytyk zawołał wielkim głosem po mojej drugiej roli: „Boże, dajcie jej coś na uspokojenie”.

– A pani była z siebie zadowolona?
– To zależy, pod jakim względem. Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, zawsze mówię: zagrałam to tak, jakbym zagrała w Polsce i to na razie wystarczy jako kryterium własnej oceny. Ale grać tam jest naprawdę bardzo trudno. Inny język, obcy ludzie, inna kultura, wobec której trzeba zachować to, co jest osobiste oraz nie starać się zmieniać, aby przypodobać się nowym widzom w nowym kraju. Albo podoba im się to, jaka jest Krystyna Janda, Polka, aktorka tak a nie inaczej myśląca, o takim a nie innym języku zawodowym, albo koniec. Nie zamierzałam się dostosowywać, lecz oparłam się na tym, co już rozumiałam, umiałam – co było moim jedynym kapitałem.

– Przyszły kolejne propozycje z zachodnich krajów...

– Tak, zagrałam w filmie szwajcarskim, amerykańskim, grałam w RFN.

– A koleżanki mówiły: „Janda to ma szczęście i...” Zazdrościły pani tej zagranicznej kariery. A propos – czemu głównie można przypisać takie powodzenie na Zachodzie?

– Może szczęściu? Tylko że trzeba mu pomagać.

– Czas, zdaniem pani, pracuje na korzyść czy niekorzyść aktorki?

– Zawsze twierdzę, że przeżywam swoje „5 minut”, i że nagle wszystko może się odwrócić. Na ocenę każdej roli czekam z niepokojem i twierdząc: „No, tym razem jeszcze mi się udało”. Każda przerwa, każdy kolejny rok jest dla kobiety-aktorki niedobry. Mam stale świadomość uciekającego czasu.

– Została pani międzynarodową gwiazdą.

– Wie pan, la commedienne znaczący we Francji ktoś, kto umie grać i budzi szacunek dla swej osoby; l'actrice to jakaś tam aktorka, ale to mniej niż la commedienne. Staro to gwiazda, to ktoś, kogo się podziwia, bezwarunkowo uwielbia, ale to ktoś, kto wcale nie musi umieć grać. Wolalabym być la commedienne.

– Ale nie wierzyła pani w swój sukces we Francji, na Zachodzie?

– Trzeba mieć wielką odporność psychiczną, żeby to wszystko wytrzymać. Na ostatniej konferencji prasowej we Francji powiedziałam do dziennikarzy, że nie uwierzę w mój sukces na tamtym rynku dopóty, dopóki pytania nie będą dotyczyły mojej pracy zawodowej, a nie tylko tego, że jestem Polką. Powiedziałam, aby opuścili salę ci dziennikarze, którzy mają inne pytania.

– I co – wyszli?

– Nie, ale deklarację ogłoszono we wszystkich gazetach, które o mnie pisały.

Rozmawiał
BOHDAN GADOMSKI